

## **Akwarele i pasaż, czyli opisywanie świata w pierwszej osobie (liczby pojedynczej i mnogiej)**

Należałoby je porównać do akwareli. Jest to medium delikatne, zdawałoby się, że prezentuje obrazy nie do końca wykończone i zasnuwane mgłą. Szczegóły nikną, rozmazują się... lub ich po prostu nie ma, musimy się ich domyślić. Barwy są łagodne, pozbawione ostrości. Dokładnie to samo znajdujemy w opowiadaniach Marty Kwaśnickiej – pisze Juliusz Gałkowski o książce Marty Kwaśnickiej „Pomyłka”.

Każdy z nas zna kogoś takiego, gdy tylko dołączy się do rozmowy, po kilku, przeważnie zdawkowych, zdaniach (pozorowanym, dla zmylenia przeciwnika, dialogu) zaczyna mówić o sobie, a już po chwili monopolizuje konwersację, i zamienia ją w monolog, by mówić, mówić, mówić... wyłącznie o sobie...

Z takimi samymi osobnikami zdarza się nam także stykać się w literaturze, autorzy bez przerwy zamęczają nas swoimi rozważaniami, emocjami i przeżyciami. Trudne to do akceptacji, i człowiek tak samo, jako podczas rozmowy, chciałby usłyszeć jakiś konkret.

Jest tylko jedno usprawiedliwienie dla owego egotyzmu pisarskiego, bądź konwersatoryjnego, jest nim umiejętność opowiadania. Monotematyczny (a tak naprawdę autotematyczny) mistrz gawędy jest

kimś wspaniałym, monotematyczny gawędziarz-nudziarz, jest nie do zniesienia.

Dlatego też muszę się przyznać, że przeżyłem pewien niepokój kiedy przekartkowałem przed lekturą „Pomyłkę” Marty Kwaśnickiej. Książkę przeze mnie oczekiwaną, gdyż obserwowałem z pewnego oddalenia przymiarki autorki do tej publikacji. Warto też przypomnieć, że jej pierwsza książka – historyczne eseje – wywołał spora ekscytację i poruszenie w gronie czytelników. Również druga, poświęcona królowej Jadwidze z rodu Andegawenów, świadczyła o dużych umiejętnościach pisarskich, nie tylko warsztacie historyka. Skąd więc ów niepokój?

Z całą pewnością uzasadniony, skoro zdecydowana większość z trzynastu opowiadań składających się na omawiany tom zaczyna się od użycia pierwszej osoby (przeważnie liczy pojedynczej, czasami mnogiej). Być może nieco przesadzam, ale jestem głęboko przekonany, że w pierwszym akapicie każdego opowiadania owa pierwsza osoba występuje. To jak w „Cyberiadzie” Lema, gdzie Trurl tworząc maszyny do opowiadania opowieści, przyłożył słuchawkę zbierającą historie także do swojej głowy, co skutkowało tym, że maszyny opowiadały o jego życiu.

Dlatego też istotnym jest pytanie: czy autorka umiała wyjść poza egotyzm charakteryzujący grafomanów i nudziarzy, i kreować, ze swoich osobistych przypadków, historie „uogólniające”? Odpowiedź jest pozytywna; wychodzi ona od osobistego doświadczenia, ale nie są to jedynie obrazki z jej życia. Opisuje miejsca które widziała, ludzi z

którymi rozmawiała, ale jej opowieści zawsze idą dalej, rozwijają się, i wprowadzają nas w świat niby to obiektywny i jedynie opisywany, ale tak naprawdę wspaniale wykreowany.

### **Akwarele...**

Opowiadania przez nią pisane przypominają nie szkice, bo te zawsze można zmienić, wygumkować, poprawić; jeżeli odnieść się do świata sztuk plastycznych, to należałoby je porównać do akwareli. Jest to medium delikatne, zdawałoby się, że prezentuje obrazy nie do końca wykończone i zasnuwane mgłą. Szczegóły nikną, rozmazują się... lub ich po prostu nie ma, musimy się ich domyślić. Barwy są łagodne, pozbawione ostrości, co zaciera kontury prezentowanych przedmiotów i zwierząt. Dokładnie to samo znajdujemy w opowiadaniach Marty Kwaśnickiej.

Ale przecież mowa o słowie pisany, a nie o obrazach. Na czym polega ów akwarelowy styl Kwaśnickiej?

Przykładem jest opowiadanie związane z jej kawalerką w Krakowie. Czy bohaterem jest owe kilka metrów kwadratowych, czy też ich mieszkanka? Być może nawet to byłoby zadowalające ale jednak autorka idzie o wiele dalej. Widzimy to gdy wymalowuje słowami zakurzoną i skrzypiącą klatkę schodową.

Klatkę schodową odnowiono powierzchownie. Odmalowano tylko jej ściany, nie wkładając w to ani pieniędzy, ani serca. Schody były ciągle drewniane i skrzypiące, pociągnięte jedynie

dość cienką warstwą ciemnego lakieru, podłoga na półpiętrach była zaś nadal pokryta starą glazurą. Nikt nie wymienił także, na szczęście, żelaznych balustrad z dębowymi poręczami. Z rozgrzanego lub zmrożonego miasta wchodziło się do mrocznego przedsionka kamienicy, zawsze chłodnego i osłoniętego od wiatru. Pachniało w nim wilgocią, która ciągnęła od podwórca, czasem zaś chemią fryzjerską. Na parterze znajdował się bowiem staroświecki zakład piękności, inny niż te, które otwierano wówczas na Starym Mieście, sterylne i oświetlone halogenami.(s. 63)

Ale nie ten opis jest w opowiadaniu „Kamienica” najciekawszy; autorka zaludnia klatkę schodową postaciami – pozornie powierzchownymi, jedynie zarysowanymi. Jednocześnie wchodzi ona w grę z czytelnikiem, zmusza go do namysłu, pobudza imaginację. Zatem kiedy prezentuje sąsiadów, mijających ją (jak duchy) na schodach to opisy te stają się początkiem podróży.

Nie wiedziałam, skąd pochodzili. Kinga sądziła, że z Bałkanów, równie dobrze jednak mogli przyjechać z jakiegoś innego rejonu, na przykład Kaukazu. Ich narodowości nigdy nie udało się nam ustalić. Na schodach spotykało się ich rzadko. Przemykali jedynie pomiędzy bramą wejściową i drzwiami swojego mieszkania, zawsze grzeczni i cisi. Cała trójka miała ciemne włosy, bardzo jasną karnację i duże, jasne oczy, które nadawały ich twarzom nieco dziecinny wygląd. Ubierali się wyjątkowo skromnie. Nigdy nie widziałam ich w ubraniach jaskrawego koloru lub choćby odważniej skrojonych – więc jeśli czymkolwiek wyróżniali się z coraz barwniejszego tłumu, to właśnie swoją szarą nieosobliwością. Oni także rozmawiali ze

sobą we własnym języku, robili to jednak półgłosem, słyhać było zatem jedynie całkowicie niesłowiańską melodię tej mowy. Sąsiadów pozdrawiali po polsku. „Dzień dobry” lub „dobry wieczór” wypowiadali tak perfekcyjnie, w sposób całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek lokalnego akcentu czy choćby cienia fonetycznego niedbalstwa, że już samo to pozdrowienie, zbyt doskonałe, zdradzało, że nie pochodzili z Polski. Cała ich egzystencja, pozbawiona jakichkolwiek znamion szczególnych, zdawała się wielkim wysiłkiem niezwracania na siebie uwagi.(s. 72)

Kim byli owi uchodźcy (???) zamieszkali w tej samej kamienicy? Owa tajemniczość, doskonale przez autorkę przekazana czytelnikowi, zachęca, a wręcz zmusza, do pójscia dalej. Możemy już sami kreować fikcje opowieści, gwałtowne zwroty akcji, czy nawet niewyobrażalne tragedie. Ale byłoby to niemożliwe, gdyby owe szkicowe postacie nie były tak doskonale (i plastycznie!!!) ukazane. Czy autorka umiałaby puścić wodze fantazji i opisać te historie? Nie mam najmniejszej wątpliwości, że tak. Potrafi bowiem opisywać inne postacie o wiele szerzej i pozwalać sobie na przypuszczenia. Możemy to zobaczyć choćby w tym samym opowiadaniu, gdzie postać Kingi jest o wiele lepiej zarysowana. Ale wybrała – frapujący i naprawdę doskonały – model opowieści.

Ów akwarelowy styl Kwaśnicka doskonale rozwija w opowiadaniu „Szmaciarz”. Nie dziwi to, gdyż autorka wydobywa na powierzchnię postać, którą każdy z nas starannie usuwa poza swój krąg widzenia. Trzeba być aktywistą, pracownikiem socjalnym, lub mieć szczególnie wyczuloną wrażliwość na ludzka niedolę, by bezdomnych wyłuskiwać z tłumu. Przeważnie włączamy w siebie mechanizm odwrotny, usuwamy

*Autorka wydobywa na  
powierzchnię postać, którą  
każdy z nas starannie usuwa  
poza swój krąg widzenia.  
Trzeba być aktywistą,  
pracownikiem socjalnym, lub  
mieć szczególnie wyczuloną  
wrażliwość na ludzka niedolę,  
by bezdomnych wyłuskiwać z  
tłumu*

tych ludzi z naszego  
pola widzenia, z  
naszej uwagi. Chyba,  
że sam kloszard  
wtargnie w nasze  
otoczenie budząc  
niepokój i niechęć.  
Tekst odnosi się do  
takiego właśnie  
wydarzenia... Nic  
zatem dziwnego, że  
owego kloszarda  
otacza mgiełka  
niedowidzenia.

Czytelnika włączono

do grona jadących autobusem, którzy są zmuszeni do interakcji z  
człowiekiem, z założenia niewidocznym. Autorka doskonale wie jak  
wywołać w nas owo poczucie z jednej strony niesmaku, jakie wywołuje  
w nas spotkanie z kloszardem, a z drugiej zaniepokojenia i winy... tym  
co bezdomny robi i mówi, i tym co jeszcze może zrobić i powiedzieć...

A opis prowadzi nas dalej, kim jest ów człowiek, jaka jest jego  
przeszłość, co robił? Drobne uwagi i elementy opisów „wkręcają” nas  
coraz wyraźniej. Autorka stosuje pozornie ograny chwyt, wywodzący  
się z mitów i bajek, gdzie pod postacią żebraka ukrywa się król. Tylko  
wybrani mają szansę go rozpoznać. Ale to wymaga wysiłku lub  
specjalnego widzenia. Narratorka staje się ową „widzącą” i pozwala  
nam się przebić przez mgłę. Opowiada...

Ale też, jak za każdym razem, i w tym, i w każdym opowiadaniu, owa opowieść o konkretnej rzeczy czy postaci prowadzi nas do pewnych ogólnych twierdzeń, do rozpoznania rzeczy samych w sobie i mechanizmów rządzących światem i zamieszkującymi go ludźmi.

Tak, na pewno był typem nerwowca, jednym z tych, którzy regularnie pojawiają się w Polsce od XIX-wieku – takich, którzy za młodu dużo myślą, mają wielkie plany i po nocach toczą żarliwe dyskusje, a jeśli coś kochają, to przesadnie. Prawie zawsze kończą źle, chociaż z różnych powodów. Nie zmienia się tylko ogólny scenariusz: napotykają przeszkodę, której nie potrafią pokonać; ktoś nimi gardzi lub ich krzywdzi, czasem prześladowa, na ogół jednak nikt się nimi nie interesuje lub bagatelizuje się ich aspiracje, co jest przeszkodą obezwładniającą tak samo jak szykany polityczne. Okazują się niepotrzebni, choć robią wszystko, żeby udowodnić swoją przydatność. Wykonują setki niepotrzebnych ruchów, próbują wykorzystać rozsadzający ich niepokój. Ostatecznie spalają się nerwowo i marnują; rozbijają o stan rzeczy, na który powinni mieć wpływ, ale który, zamiast zmieniać się dzięki ich staraniom, zwykł przetrącać im kręgosłupy. Jak prawie każdy zlekceważony wrażliwiec mężczyzna z tramwaju także z czasem stał się bezsilny i jałowy. Nigdy nie wykorzystał swoich talentów, może nawet nie miał okazji nikomu ich pokazać. (s. 87-88)

Akwarela to sztuka dla odważnych, oczywiście może się nią zajmować głupiec niedoceniający walorów i trudów owego tworzenia. Ale czy warto się takimi zajmować? Ich papierów pełno po magazynach i na

zakurzonych strychach. Marta Kwaśnicka zaś jest znamienitą akwarelistką słowa.

Warto zwrócić uwagę, że lekkość tego pisarstwa (podobnie jak lekkość malarstwa wodnego) powoduje, że nie mamy do czynienia z przestrzeniami, w których panuje duch południowej gnuśności, acedii, smutku. Niezależnie od tego czy opowiadanie jest radosne czy smutne, ma w sobie piękno i świeżość różnorodności świata północy. Nie znajdziemy w niej dusznych godzin popołudniowych malarstwa De Chirico. Chociaż nie mam żadnej wątpliwości, że i z takimi tematami, i taką formą, znakomicie by sobie poradziła.

### **Pasaże...**

Teksty Marty Kwaśnickiej pobudzają czytelnika i pozwalają mu na swobodne wędrowanie. W jakiś sposób „wędrowka” stała się słowem-kluczem do nich. Wędrować to coś więcej niż tylko przemieszczać się z miejsca w miejsce. Wędrować to poznawać i rozwijać – nie tylko siebie...

Kultura modernizmu (co po wielokroć podkreślali uczeni znawcy literatury i kultury) wykształciła pewien specyficzny gatunek literacki, będący tylko pozornie *cliché* motywu drogi. Chodzi o formę pasażu. Czym jest, a czym nie jest pasaż, napisano zapewne tysiące stron. I bardzo trudno będzie tutaj cokolwiek dodać, zresztą nie jest to miejsce, ani na podsumowywanie, ani nawet na prezentację tej dyskusji. Nie czas także wchodzić w spory na temat formuły eseju jakim jest owo „literackie wędrowanie”, gdyż literatura i spektrum poglądów są chyba

*Marta Kwaśnicka, autorka  
tekstów, a zarazem narrator  
jest klasycznym flâneurem,  
wędrowcem przechadzającym  
się po ulicach miast i  
zdającym nam z tych  
wędrowek sprawozdanie*

jeszcze bardziej  
rozległe. Zatem  
dosyć autorytarnie  
muszę stwierdzić, że  
opowiadania Marty  
Kwaśnickiej  
spełniają w moich  
oczach właśnie –  
pomimo formy  
opowiadań – funkcję  
pasażu, eseju  
wprowadzającego

człowieka w otaczający nas świat i pozwalający na lepszego jego  
zrozumienie. Nie sposób tutaj nie odwołać się (pomimo wcześniejszych  
zapowiedzi o unikaniu literatury przedmiotu) do rozważań Marty Wyki  
o polskim eseju. Wybitna znawczyni polskiej literatury pisze o polskiej  
szkole eseju, wręcz o polskiej duszy w esej, niczym inkluz,  
wszczepionej.

Anegdoty i historie rodzinne; historia regionu, prowincji i  
zamieszkującego ją ludu; obserwacje zdystansowanego uczestnika tej  
wspólnoty, znajdującego się jak gdyby na jej pograniczu; domowe  
biblioteki i bliskie podróże; plotki sąsiedzkie; dalekie podróże  
potwierdzające wyjątkowość perspektywy rodzinnej.[i]

Czy będzie naprawdę wstydem przyznać się, że wyszukując te słowa w  
notatnikach z lektur, odczuwałem dreszczyk emocji? Wszak te słowa  
sprzed niemal trzydziestu lat pasują do opowiadań Kwaśnickiej jakby  
tworzone na miarę. Ponieważ sam nie piszę uczonej rozprawy ale  
omawiam cudze teksty to pozwolę sobie na zdecydowanie przesadne

twierdzenie (i niech ta hiperbola, mająca na celu jedynie podkreślenie tezy, będzie mi wybaczona) – Pomyłka jest doskonałym polskim esejem literackim, chciałoby się wręcz powiedzieć, że jego typem.

Ale rozważania o pasażu prowadzą nas dalej, wyjaśniają doskonale skąd się bierze owo pozornie nad-reprezentowane „Ja” autorki. Marta Kwaśnicka, autorka tekstów, a zarazem narrator jest klasycznym *flâneurem*, wędrowcem przechadzającym się po ulicach miast i zdającym nam z tych wędrówek sprawozdanie. Ma rację Katarzyna Szalewska pisząc: Jednym z fundamentalnych doświadczeń modernizmu jest doświadczenie bycia-w-mieście[ii]. Pasaże, opisy wędrówek flanerów, chociaż zastąpiły dawną sielankę, to nie są jej nowoczesnym odpowiednikiem. Inny cel, inne zadanie – wędrujący po mieście (ewidentnym środowisku naturalnym Marty Kwaśnickiej) nie powraca do wspaniałych, wymarzonych miejsc sielskiego bytowania. Wręcz na odwrót zmagają się z rzeczywistością, walczy z nią, poddaje krytycznemu osądowi.

Szczególnie mocne i dosadne są opisy naszej polskiej rzeczywistości, tym dosadniejsze, że nie opisywane przez osobę wypchniętą na margines i przegraną. Autorka jest osobą, która odniosła sukces, i kreowany przez nią podmiot (owo mocne „Ja”) nie prezentuje się jako życiowy rozbitek. Wręcz przeciwnie – opowiadania (eseje?) są erupcją radości życia; nie smęci!

Ale opisy życia we współczesnym świecie są bezwzględnie zimne (a przez to jeszcze bardziej podnoszą emocje).

To niby nic niezwykłego: rutyna i poczucie bezpieczeństwa otepiają. Zarobkujący, dopóki ma pracę, jest rodzajem udomowionego zwierzęcia, które nie potrzebuje polować, ponieważ jest karmione. Zwolniony staje się zaś drapieżnikiem, i to głodnym, drażnionym przez każdy szczegół otoczenia. (s. 261)

W Warszawie nie wystarczyło być kompetentnym; trzeba było jeszcze zostać zaakceptowanym przez tamtejsze towarzystwo – spośród wszystkich algorytmów, które można było zastosować, aby zrobić karierę, najważniejszy i najpewniejszy był właśnie klucz środowiskowy. Ci, którzy nie zabiegali o żadną przynależność lub z jakichś powodów nie zostali przyjęci do którejś z istniejących frakcji, po dekadzie pracowali na stanowiskach równie niewysokich jak na początku kariery i dopiero z perspektywy czasu zaczęli rozumieć, że nigdy nie mieli w stolicy zbyt dużych szans; że chociaż z domów wynieśli przekonanie, że są tak samo wartościowi jak inni, bo przecież czasy dzielenia na lepszych i gorszych dawno się skończyły, to w oczach stołecznych decydentów nigdy nie byli równi, nawet jeśli podzielali ich poglądy czy wrażliwość lub mieli podobne kompetencje. Niektórzy, odkrywszy to, buntowali się, próbowali sił w stworzonych przez siebie firmach lub wracali na prowincję i żyli spokojnie z dala od żarłocznego, stołecznego pytona. Na razie jednak wszyscy, niezależnie od tego, co było im pisane, sunęli maślanym wzrokiem za tymi spośród znajomych, którzy, ich zdaniem, znajdowali się już chociaż odrobinę „w mainstreamie”. Próbowali grzać się w ich świetle. Słynni redaktorzy, kiedyś oglądani jedynie w telewizji, teraz stawali się „Jackami” i „Kazikami”, znanymi wprawdzie ciągle dość

pobieżnie, ale na tyle, by w rozmowach z osobami trzecimi podkreślać swoją poufałość z nimi, nigdy nie mówiąc o wielkich gwiazdach publicystyki inaczej jak przy pomocy imienia: „Tak, Michał wspominał coś o tym” lub „Tak, słyszałem to od Janka”.  
(s. 137-138)

Jest w tych opisach pewna drapieżność, oparta na życiowych doświadczeniach, ale zarazem prowadząca nas ku uogólnieniom. Część opowiadań w swej formie bardziej przypomina eseje historyczne (doskonale znane z poprzednich książek Kwaśnickiej) jedynie nieco łagodzone przez osobisty charakter rozważań. Tekst o Wiktorii Colonne uważam za przykład prozy najwyższej jakości. Widać zatem, że autorka uczyniła zdecydowany krok naprzód.

Na czym polegałby ów postęp? Przecież nie byłoby nic złego, gdyby pozostała nadal drapieżną w swej prozie, i staranną w badaniach źródłowych oraz bibliograficznych, autorką esejów historycznych. Tym bardziej, że mimo pozorów nadmiaru pisarstwa historycznego, jej twórczość wyróżnia się jakością i stylem literackim. Rozwój polega na tym, że autorka uznała, że może (i powinna) iść dalej, zaproponować czytelnikom nowe lektury. I nie bawiąc się z czytelnikami w gry interpretacyjne zaproponowała formułę zbliżoną łączącą *passage* z bardzo osobistym w swoim charakterze opowiadaniem, doskonale współgrającą z jej stylem, temperamentem i życiowym doświadczeniem.

**Pan „T”**

W podróżach autorce towarzyszy niejaki „T”. Kto wie kim on jest, nie będzie się dziwił, a jeżeli kogoś ta wiedza ominęła, to doskonale się bez niej obędzie. Istotna jest bowiem rola jaką ów osobnik odgrywa w prozie, a nie w życiu Marty Kwaśnickiej. Sama w posłowniu pisze:

Gdyby jednak ktoś chciał na podstawie „Pomyłki” ustalić szczegóły mojego życia, okaże się, że w rzeczywistości często wyglądały one inaczej niż to, co opisałam w książce. (s. 316)

Ale „T” jest kimś więcej niż tylko towarzyszem podróży, jest swoistym *porte-parole* czytelnika. Za jego pośrednictwem autorka wchodzi z nami w dialog. I dobrze, bo bez tego porozumiewania się z nami, owa postać byłaby w zbiorze opowiadań całkowicie zbędna, a przyzwyczaiałem się do „T” i martwi mnie możliwość jego nieistnienia.

*Juliusz Gałkowski*

Marta Kwaśnicka, *Pomyłka*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów we współpracy z Christianitas (2019)

\*\*\*

[i] Marta Wyka, *Uwagi o polskim eseju* [w:] *Polski esej. Studia*, red. M. Wyka, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1991, s. 13.

[ii] Katarzyna Szalewska, *Pasaż tekstowy. Czytanie miasta jako forma doświadczania przeszłości we współczesnym eseju polskim*,  
Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS,  
Kraków 2012, s. 7